

665

## Teatr

Sztuka Barnesa  
cała jest zrobiona z teatru,  
literatury, cudzych pomysłów –  
okrutna i... nieodparcie śmieszna

# Spaprawy świat czerwonych nosów

Bożena Winnicka

Gdybym wcześniej wiedział, ile to przedstawienie będzie kosztowało, pewnie by go nie było – powiedział Jerzy Fedorowicz witając gości zaproszonych na premierę *Czerwonych nosów* Petera Barnesa. Podziękował też mecenasom, którzy rzucili garść pieniędzy na dekoracje i teatralne maszyny.

W Teatrze Ludowym nie gra się rzeczy małych, literatury podrzędnej, tak gorliwie teraz zalecanej jako niezawodny prozek do rozśmieszania publiczności. Są komedie, to prawda, ale jakie? *Poskromienie złośnicy*, *Śluby panieńskie*, *Mieszczanin szlachcicem*. Jest Słowacki, traktowany przez teatry z wyraźną abominacją. Na małej scenie Brel, Białoszewski, Rabelais. Nie wiem, ile w tych wyborach upodobań Joanny Olczak-Ronikier i jak dalece literacko teatrem kieruje. W każdym razie nie ma tu teatralnej tandety. Żeby to nie wyglądało na laurkę – artystycznie różnie bywa. Od przedstawień dobrych, przyzwoitych po boleśnie nieudane, jak *Balladyna* Rudolfa Zioly, jednego z najlepszych naszych reżyserów. W teatrze, jak wiadomo, sukcesu zaprogramować się nie da.

No i teraz *Czerwone nosy*. Wielka inscenizacja, duży zespół, co dla działu finansowego wielce niewygodne. Wprawdzie można rzecz wystawić bez przepychu, za to wesprzeć pewnego rodzaju od wagą. Wiele tu bowiem sytuacji i tekstów, które wydać się mogą obrazoburcze, wręcz bluźniercze. Barnes kpi ze wszystkiego, nawet z tego, co przywykliśmy uważać za niedotykalną żartem świętość. Nie są to jednak lekkomyślne prześmiewki, lecz szydercze lustro podstawione nam pod pysznie wydufany dumą nos.

Biała mgła. Dźwięk dzwonu i głos. *Wynoście swoich zmarłych*. Tak zaczyna się *Czerwone nosy*. Głos woła nadaremno. Zmarłych jest wielu a żywi zaję-

ci sobą. Umieraniem, modlitwą, rozbojem, rozpustą. Nade wszystko zaś strachem. Trupami zajmują się tylko Czarne Kruki, uprzątańcze zwłok, zdzierający z nich wszystko, co mieć może jakkolwiek, żalosną choćby wartość. *Epidemia dżumy, w roku 1343, w Auxerre* – pisze Barnes z pedanterią historyka. O dżumie wiemy wszystko. Opisywali ją dziejopisowie od Tukidydesa po Barbarę Tuchman, pisarze od Boccaccia po Camusa. Wyczerpującą antologię tego tematu opublikował Tomasz Kubikowski w *Dialogu* przy okazji sztuki Barnesa. *Czerwone nosy* nie są jednak sztuką historyczną i niekoniecznie o dżumę tu chodzi. Raczej o zagrożenie, realne, acz niepojęte, które urasta do wymiaru Apokalipsy, zdaje się początkiem końca świata. Pękają normy, łamię się wszelki porządek, niweczą ludzkie uczucia i rodzinne więzy. Brzmi to banalnie, wiem. Tyle jednak z okazji *Czerwonych nosów* nasmarowano o dżumie, jakby to jej opis i diagnoza były najważniejsze.

A więc groza, jak to w czas zagłady bywało. I bywa nadal, w Indiach, Bośni, Kurdystanie i czterdziestu miejscach naszego najlepszego ze światów. I oto pewien ksiądz nazwiskiem Flote odkrywa, że lekarstwem na strach może być śmiech. Przystają do niego różni osobliwi ludzie. Zawodowi mordercy, niedogwałcona zakonnica, niemy tancerz, ślepiec, jakaś, pokraczne kaleki żywcem z obrazków Bruegela zstępujące. Nakładają czerwone nosy kłownów, tworzą trupę Komików Pana Boga. Błogosławi im sam papież Klemens VI. Dostają kościelnego szpiega, co to ma węszyć i donosić. Dla umęczonych chorobą ludzi grają jarmarczne przedstawienie o Każdym. Pokazują, jak łatwo można przechytrzyć Śmierć, jeśli nie żywi się przed nią strachem.

Zaraza mija, kończy się czas zagłady. Wszystko wraca do normy. Kłowni Chrystusa przygotowują nowe przedstawienie. Nie chcą już tylko bawić, zamierzają po-

rządkować świat, tak źle przecież urządzony, wysławiać ludziom myśli wolne, złączyć wszystkie postacie buntu, odkrywać nie śmiech, ale człowieczą naturę. Cierpienie nie uszlachetnia. Ludzie są tak samo okrutni i wredni jak przed pomorem. Ale na to nie ma pozwolenia. Klemens VI nakazuje zniweczyć tę, jak to określa, *zieloną siłę*, niebezpieczną, skoro głosi swobodę myśli. Ludzie muszą powrócić do kajdanów Państwa, *Kościół i Małżeństwa*. *Czas na łamanie świata kręgosłupa* – powiada. Zamordowani zostają więc wszyscy, teraz już niepotrzebni. Obdzieracze trupów, biczownicy, na końcu Kłowni Chrystusa, czerwone nosy. Klemens VI im współczuje. Sam był kiedyś linoskoczkiem, gdy miał skrzydła i włosy. Jest mądry, wszystko rozumie. Wie, że wesołkowie będą zawsze, tak jak wieczna jest sztuka, nauka, filozofia. Nie zapomina się tych, którzy ucą innych, jak żyć i po co żyć. Ale tylko przemoc może utrzymać porządek świata. Logika terroru jest piekielna.

Sztuka Barnesa jest okrutna, choć utkana paradoksami, absurdalnymi żartami, kalamburami. Papież wyje tu jak wilk, ślepiec staje się przewodnikiem doskonale widzających, zakonnica obsobacza żołdaków, że nie zgwałcili jej naleźycie. *Czerwone nosy* całe zrobione są z teatru, literatury, cudzych pomysłów. Są tu sceny z Brechta, Calderona, Szekspira, klimat z Ghelderodego. Czy te cytaty można jakoś pokazać w przedstawieniu? Nie wiem. Czy trzeba? Nie jestem pewna. Teraz, gdy tak niewiele są one znane. Zostawmy więc literaturę w bibliotece, zajmijmy się teatrem.

*Czerwone nosy* są teatralnie efektowne i przede wszystkim potwornie, nieodparcie, niebywale wprost śmieszne. Aż kipią dowcipem. A jest to humor przedni, bezczelny i subtelny na przemian, drastyczny i inteligentny, przewrotny i rubaszny, choć nie wulgarny. Myślę, że przydał mu powietrza i lekkości przekład Stanisława



Fot. Zbigniew Łagocki

Barańczaka. I właśnie tego dowcipu w Teatrze Ludowym najbardziej było mi brak.

Przedstawienie zaczyna się jak Barnes przykazał. Opary dymu, muzyczny harmider, krzyki i umieranie. Tyle że epizody, niszane w sztuce, zlewają się w jeden obraz tworząc żywy bałagan. W tym zgiełku aktorzy niepotrzebnie wykrzykują tekst. I tak nic nie słychać. Wiemy, że jest dżuma i konanie. Nie ma natomiast atmosfery grozy, która obecna jest stale, towarzyszy wszystkiemu, co dzieje się na scenie. To bardzo trudne. Zbudować i utrzymać owo niesamowite poczucie niustannego zagrożenia, czającej się gdzieś tam okropności. Ale możliwe i raczej niezbędne, jeśli zaiskrzy ma w tym czadzie idiotyczny wyglup Flota, jarmarczny teatr na tle prawdziwego teatru rzeczy ostatecznych. Dżumy nie ma, trudno. Za to są Kłowni Chrystusa. Całkiem młodzi i jeszcze młodzi aktorzy Ludowego czują się w tej konwencji swobodnie, bawią się sami i skutecznie rozśmieszają publiczność. Flote Pawła Gądka, młodziutki, chudziutki, nie jest nawiedzonym mni-chem, charyzmatycznym przywódcą, raczej kumplem tej wesołej kompanii. Trochę nijaki i bezbarwny, nie rośnie, nie dojrzewa do ostatecznej ofiary. Sornerie, niemy mim Rafała Dziwisza, jest plastyczny w geście i ruchu, mało efektowny, ale wyrazisty. Piotr Urbaniak jako nawrócony zabójca Brodin, kiedy już przestał udawać pijanego żołdaka, zabawnie zagrał Każdego, ładnie też wykonał długą etiudę śmierci w części drugiej, prosto, acz efektywnie ułożoną przez Tomasza Gołębiowskiego. Podobał mi się Krzysztof Gadacz jako ślepy Viennet. A to dlatego, że nie starał się rozśmieszyć nas na siłę. Usiłnie za to pracował nad tym Andrzej Franczyk, udający jakiegoś rodem z kabaretu Drodzy. To nie komplement – zastrzegam. Nie wysilił się też specjalnie Sławomir Sośnierz. Po prostu zagrał znowu Fon Kostryna z *Balladyny*.

Młody i zdolny zespół Ludowego stać na barwniejsze i głębsze wypełnienie wymyślonych przez Barnesa postaci. Tego jestem pewna. Cóż, kiedy Włodzimierz Nurkowski, jak się wydaje oszołomiony teatralnym bogactwem sztuki, zajął się raczej jej inscenizacją niż reżyserią. A inscenizacja wyczerpała się już w pierwszej części. Część druga, poskładana ze znacznie mniej atrakcyjnych scen, uderza nieporadnością. Kto ma coś mówić, to mów, nawet gra, mniej lub bardziej udanie. Reszta tworzy milczące, obojętne tło. Zamiera dramatyczne napięcie, więdnie owa groza, która przeciw znowu potężnieje. Już inna, ale równie bezlitosna jak Czarna Śmierć. Co gorsza, ofiarą reżyserskich zabiegów padają też dowcipy, zwłaszcza słowne. Tutaj skutecznie zatupane. A bez nich nie ma *Czerwonych nosów*, ich jadowitej, przewrotnej mądrości.

Na prapremierowym przedstawieniu najbardziej szczerze bawiła się młodzież. Niezbyt liczna co prawda, upchana wśród ważnych gości. Znalazła się tu z własnej woli i za własne pieniądze. Szydercze, bluźniercze, absurdalne żarty Barnes a to ich język, ich makabryczne kawały.

Sztuka Barnes a kończy się zagładą czerwonych nosów. Ewelina Paszke, jako zamordowana Małgorzata, na swoim szlaku do wieczności woła: *ja chcę się dowiedzieć, jak do tego doszło, że On tak wszystko spaprzał!* Nie tylko ona zadaje sobie to pytanie.

Krakowscy mecenasie nie zmarnowali pieniędzy wspomagając Teatr Ludowy. Mimo wszystko.

Peter Barnes *Czerwone nosy*, przekład Stanisław Barańczak, reż. Włodzimierz Nurkowski, scen. Anna Sekuła, muz. Krzysztof Sz wajgier, ruch sceniczny Tomasz Gołębiowski, Teatr Ludowy w Krakowie, premiera 9 października 1994